Nr. 3. Lwów, dnia 20. Stycznia 1888 r. Rok I.



Pismo poświęcone powieściom, romansom, nowellom i wspomnieniom.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr. kwartalnie 1 zł. 50 ct., miesięcz. 50 ct. Skład w księgarni Polskiej Lwów. | W Księstwie Poznańskiem: Rocznie 12 marek, półrocznie 6 marek, ćwierćrocz. 3 m., miesięcz. 1 m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski.

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya „*Wieczorów zimowych*" w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.

„*Wieczory zimowe*" wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie: każdego 1-go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy.)

Dopiero gdy się tu znalazł, odzyskał dawną odwagę, czapkę z fantazją na głowę włożył, i wygwizdując jakąś hulasszczą arję żołnierską, udał się tam, gdzie stały konie tych ludzi, którzy z dalszych stron do kościoła przyjechali. O tem, że należałoby przecie być na nabożeństwie, ani pomyślał.

Kościoł był wiernymi po brzegi wypełniony. Po prawej stronie, mężczyźni bądź stali, bądź w ławkach siedzieli; po lewej zajęły miejsca kobiety. Obok wielkiego ołtarza, w ławce kolatorskiej, siedział p. Henryk Miliński z żoną, osobą wielkiej urody, za nią ich dwoje małych dzieci, na samym zaś końcu, siostra pani Milińskiej. W ławce naprzeciwko znajdowała się tylko jedna osoba. Był nią baron Fryderyk Zarnecke z Komarowa, którego pojawienie się w kościele, zawsze senzację wywoływało, powszechnie bowiem wiedziano, że chociaż brat jego młodszy był protestantem i zawziętym katolików nieprzyjacielem, on sam został wiernym religji, w której się urodził, i z obarzeniem odtrącał namowy brata, usiłującego koniecznie go nakłonić do zmiany wyznania.

Wszyscy modlili się z książek, dopiero gdy proboszcz wstąpił na ambonę, pozamykali je, wpierw ucałowawszy, by tem spokojniej słuchać słowa bożego.

Ks. Błażej mówił dziś na temat: Czcij ojca i matkę twoją! Z początku głos jego był cichy, jakby przytłumiony, wszakże powoli zaczął siły nabierać, a gdy w połowie kazania, opuściwszy grunt czysto duchowy, dotknął nareszcie spraw więcej ziemskich, z oczu płomienie mu buchały, przez usta wyrywały się słowa pełne grozy i wielkości, twarz była rozpromieniona, a mała jego figurka w olbrzyma urosła.

Wierni patrząc nań z zachwyceniem i religijną bojaźnią, słuchali w głębokiem milczeniu, które gdzie niegdzie mąciło chyba westchnienie, lub cichy szept: „O Jezu!"

— Czcij ojca i matkę twoją! — kończył głosem piorunowym — bo twoim ojcem Bóg, a twoją matką ta ziemia, która cię na świat wydała! A jak ciężką była by twoja wina, gdybyś się sprzeniewierzył przykazaniom bożym, tak nie mniej ciężkim byłby twój grzech, synu, jeżlibyś zapomniał o tej matce, której życie zawdzięczasz! Kochaj więc Boga, bo on w nagrodę za to zgotuje ci światłość wiekuistą i kochaj matkę, jeśli tu, za życia, chcesz, by ci się dobrze wiodło i abyś miał spokojne sumienie! Nie kocha jej zaś ten, kto dla marnych kilku talarów opuszcza dom ojczysty, i zabrawszy z sobą serce polskie, strój polski i mowę polską, wraca z dalekich krajów zmieniony do niepoznania, z piersią wyziębioną, w kubraku i z niemieckiem słowem na ustach! Kto mówi językiem obcym, ten depce kości swych ojców z pogardą, ten jest w duchu n iewolnikiem, ten tonie w odmętach upadku! Dla tego błagamy cię, o Panie! byś nam był pomocą w obronie naszego ogniska domowego, gdyż takim, jakimiś nas stwo-

rzył, chcemy za twoją łaską i żyć i umierać! Amen!

Skończył, i ręce wsparłszy na poręczy kazalnicy, na wiernych spojrzał.

— O! Jezu! Jezu! — przebiegł szmer od wielkiego ołtarza do drzwi wchodowych i wszyscy padli na kolana.

VI.

Pałac w Ujściu Leśnem, dokąd na chwilę wstąpimy, nie pochodzi z czasów odległych. Stawiał go już na początku drugiej połowy bieżącego stólecia, dziad po kądzieli teraźniejszego właściciela, ale ponieważ ani sam nie znał się na architekturze, ani też planów nie kazał wykonać znakomitszym budowniczym, więc i pałac był zlepkiem stylów rozmaitych, bez jednolitego charakteru. Czegokolwiek kto zapragnął, mógł w nim znaleźć. I okna włoskie o linjach szlachetnych i greckie kolumny na pobocznej terasie i dachy francuskie zadarte a wysokie, jak fryzura strojnisi paryskiej, na nich zaś niemieckie kominy i okienka z kończastemi daszkami, wreszcie na jednem skrzydle wznosiła się także starożytna baszta ze strzelnicami. Ktoś, przyjechawszy pierwszy raz do Ujścia, nazwał tę budowlę „dzikim pałacem“ i tem najlepiej ją scharakteryzował. Ale mimo że w rzeczy samej dziko wyglądała, całość nie robiła ujemnego wrażenia. Przeciwnie, była ona na pół poważna, na pół zalotna, jak jedna z tych kobiet, o których świat mówi, że są pociągające, mimo iż rysy ich twarzy nie są klasycznie piękne.

Powiedzieliśmy, że stawiał go dziad po kądzieli teraźniejszego właściciciela. Był nim książę Ypsylanty, helleńczyk z pochodzenia, który jako attaché greckiego poselstwa w Berlinie, ożenił się tamże z córką jakiegoś markiza francuzkiego, który przyjechał był na dwór pruski szukać karjery i majątku. Owocem tego małżeństwa była jedynaczka, którą poślubił Artur hr. Wągrowski, pan na majoracie, ufundowanym przez jego przodków, z dóbr położonych w Wielkopolsce, na Szląsku i w Prusach zachodnich. Książę wydając córkę za hrabiego, kupił dla niej Ujście Leśne z przyległościami, gdzie pałac wystawił. Piękny ten majątek, po śmierci hrabiny, która z mężem niedługo żyła, przeszedł na jej jedynaka, hr. Leonarda Wągrowskiego, który niedawno tu przyjechał na dłuższy pobyt.

Wewnętrzny rozkład apartamentów, ich wielkość i urządzenie odpowiadały w zupełności nowoczesnym wymaganiom. Prócz jednej sali balowej a drugiej jadalnej, z których każda mogła wygodnie kilkaset osób pomieścić, zresztą pokoje były niewielkie, przeważnie jedwabnemi gobelinami poobijane; na ścianach wisiały bądź oryginały lepszych artystów współczesnych, bądź fotografie i sztychy w czarnej oprawie, gdzie niegdzie do przedpokoju zabłąkał się także olejodruk w ramach złoconych, meble były albo adamaszkowe, albo aksamitne; wszędzie można było podziwiać wspaniałe zwierciadła z drogiemi konsolami, olbrzymie brązowe pająki, gdzieniegdzie stały smukłe kolumny, na nich bogowie z marmuru kararyjskiego, posadzki pokrywał miękki kobierzec, zastosowany do umeblowania i portjer, któremi wszystkie drzwi były ozdobione — słowem od dołu do drugiegopiętra, każdy szczegół świadczył, że człowiek, co ten pałac stawiał, był bogaty i lubił komfort. W lecie było tu wszędzie chłodno, okna bowiem głównych apartamentów wychodziły na północ i na jezioro, przeciwnie w zimie, dzięki kaloryferom umiętnie w ścianach poukrywanym, we wszystkich pokojach panowała atmosfera ciepła a jednostajna.

Stary książę pragnął zapewne, by zięć jego w tym pałacu stale kiedyś z żoną zamieszkał, skoro nie pominął ani jednej rzeczy, która na wsi może pobyt uprzyjemnić. Był więc z nim połączony piękny ogród zimowy, była sala gry, druga bilardowa, były łaźnie i kąpiele natryskowe, była kręgielnia, sala gimnastyki i szermierki, była nakoniec i strzelnica.

Od strony jeziora, którego brzeg w tem miejscu, tak daleko jak po obu bokach pałacu park sięgał, był ciosowym kamieniem obmurowany, nie rosły żadne drzewa. Pałac przeglądał się więc sam w fali jeziora i tylko w lecie ustawiano na płaszczyźnie między nim, a wodą, do której schodziło się po dwunastu szerokich stopniach kamiennych, różne drzewa, krzewy i kwiaty, zimą w cieplarni przechowywane. Balustrada z lanego żelaza, niezbyt wysoka, a misternej roboty, biegnąc wzdłuż stromego brzegu, chroniła dostatecznie od niebezpieczeństwa, w miejscu zaś, gdzie się po stopniach do wody schodziło, na dwóch słupach kamiennych stały dwa olbrzymie wazony, z aloesami mającemi po trzy metry w obwodzie, o których podanie niosło, że każdy z nich tylko raz na sto lat z hukiem strzału działowego pękał a potem zakwitał.

Obok ostatniego stopnia, głęboko w skalisty grunt wpuszczone, widać było dwa słupki żelazne z licznemi hakami, do których były łodzie przyczepione. Teraz kołysało się ich troje. Jedna długa, wąska, mogąca ledwie dwie osoby pomieścić, wprawdzie lekka i zwinna, lecz za to niebezpieczna; druga owalna, z żaglem wysokim i z czterema siedzeniami, nakoniec trzecia z baldachimem i ośmioma wiosłami.

Tą mogłoby się puścić na jezioro nawet osób kilkanaście.

Po drugiej stronie pałacu, ciągnął się najpierw ogród francuski, ze strzyżonemi drzewami i alejami, za nim angielski, pełen drzew starych, pochodzących z owych jeszcze czasów, kiedy to Ujście

Leśne leżało w rzeczy samej wśród lesistej okolicy. Od pałacu, przez całą długość parku, prowadziła szeroka aleja klonowa, mająca na końcu bramę żelazną. Za nią widać było drogę, do wsi wiodącą. Po drugiej jej stronie, stał kościół w kształcie starej bazyliki, nie wielki a sympatycznie zbudowany, ze złotym krzyżem na szczycie. Każdy, kto przed pałacem stanąwszy, obrócił się w stronę alei klonowej, musiał być przyjemnie uderzony widokiem tego starego przyjaciela ludzkości, który stojąc na końcu ogrodu, zdawał się przemawiać głosem uroczystym:

— Wy, co tam w zbytkach opływacie, jeśli kiedyś burze życia zahuczą nad wami, gdy w oczach wam pociemnieje, a serce będzie pękało, przyjdźcie z ufnością tu, do mnie, a znajdziecie słowo miłości i pociechy!

Na pierwszem piętrze, w małym pokoiku, którego dwa okna na jezioro wychodziły, a na którego ścianach wisiało kilkadziesiąt mniejszych i większych portretów pastelowych, przedstawiających najpiękniejsze kobiety współczesne, w fotelu z biegunami, kołyszącym się za lada poruszeniem, siedział mężczyzna młody, najwyżej trzydziestoletni.

Na sobie miał szlafrok z perskiej materyi, na nogach aksamitne pantofle, srebrem haftowane, na głowie fez turecki, na szyi biały fular. Twarz jego nie była ani przystojna, ani brzydka. Włosy miał jasne, takiż wąsik i bokobrody, które mu aż do piersi sięgały, na twarzy skóra tak była delikatna, że wszystkie żyły przez nią przebijały, w oczach siwych, pozbawionych ognia i blasku, czytało się przedwczesne znużenie. Siedział naprzeciwko drzwi, prowadzących do jego sypialni, i trzymał w ręku list otwarty, który przed chwilą odczytał. Przed nim, na stoliku, leżały najświeższe dzienniki, jeden niemiecki z Berlina i trzy francuskie, między któremi *Figaro* pierwsze miejsce zajmował, obok nich najnowszy romans Zoli, a na nim nóż z kości słoniowej do rozcinania kartek.

Ziewnął przeciągle i zaczął się kołysać. Robił to zawsze, gdy myślał. Nareszcie fotel zatrzymał, i rękę wyciągnąwszy, dotknął się białego w ścianie guzika. Był to telegraf domowy.

Niedługo trwało, a wszedł kamerdyner w czarnym fraku i białym krawacie, świeżo ogolony, z miną uroczystą.

— Jaques! jak tam na dworze? — zapytał po francuzku.

— Będziemy mieli dzień prześliczny, bo mgła opadła — odpowiedział kamerdyner akcentem paryskim.

— Ale jakie powietrze?

— Będzie bardzo gorąco.

— Tak? A mnie jakoś chłodno — odrzekł hr. Leonard trąc jednę rękę o drugą.

— Może pan hrabia każe okno otworzyć. Gdy ze dworu cieplejsze wejdzie powietrze, zaraz i pokój się ogrzeje.

— Nie, nie, jeszcze zawcześnie.. od jeziora wilgoć ciągnie — odrzekł, fular na szyi poprawiając, jakby się bał przeziębić.

— Czy pan hrabia pojedzie dziś do kościoła?

— Dziś nie, bom coś nie zdrów... Mało spałem i głowa mnie boli. Zresztą pojutrze będziemy mieli nabożeństwo u siebie, bo jutro starszy pan hrabia do nas przyjedzie. Nie był tu już przeszło dziesięć lat, więc musimy uroczyście jego przyjazd obchodzić. Nie wiesz, Jaques, pan Scholtz jest teraz w pałacu?

— Widziałem, że przed chwilą poszedł do kantoru gospodarskiego.

— Skoro tak, to pójdź za nim i sprowadź mi go tu zaraz, bo chciałbym mu coś ważnego powiedzieć.

Kamerdyner wyszedł rozkaz spełnić, hrabia zaś cygaro zapaliwszy wsparł głowę na dłoni i przez okno wyjrzał.

Przed nim leżało jezioro blasku pełne, słońce bowiem wybiegłszy już od dawna ponad drzew wierzchołki, oświetlało całą jego powierzchnię. Naprzeciwko widać było czerwony dwór pana Milińskiego, przed nim niewielki ogródek, w tyle okazałe budynki gospodarskie. Młody człowiek zatrzymał wzrok na owym dworze, lecz że dla znacznego oddalenia nie mógł nic dojrzeć, wziął więc lornetkę, co pod gazetami leżała, i tę do oczu przyłożył. Długo tak siedział, mając ciągle w jeden punkt lornetkę zwróconą, i dopiero wtedy głowę odwrócił, gdy za plecami usłyszał najpierw jak ktoś drzwi otworzył, potem że odchrząknął.

Przed nim stał mężczyzna średniego wzrostu, nie stary, krępy, barczysty, z brodą krótko przystrzyżoną. Postąpił aż do samego dziedzica, i tak spojrzał na krzesło najbliżej stojące, jakby koniecznie chciał na niem usiąść. Wszakże nie uczynił tego, tylko zatrzymał się stojąc.

— Pan hrabia kazał mnie wezwać? — przemówił po niemiecku.

— Tak jest, kochany panie Scholtz, mam ważny interes do ciebie — odpowiedział tym samym językiem. — Trzeba ci wiedzieć, że jutro pociągiem południowym przyjedzie starszy pan hrabia. Najpierw tedy wyszlesz po niego na kolej złotą karetę w cztery konie zaprzężoną, konie będą w pióropuszach, służba zaś w liberyi karmazynowej. Ponieważ ja sam prawdopodobnie nie będę mógł pojechać, bo coś jestem niezdrów, wątpię zaś, by mi się do jutra polepszyło, więc pan mnie wyręczysz. Weźmiesz jednak dla siebie ekwipaż drugi, półkryty i parę koni..

— Rozumiem, panie hrabio.

— Myślałem nad tem długo — dziedzic dalej mówił — jakby przyjąć starszego pana, i zdaje mi się, że najlepiej się zrobi, jeśli go otoczymy

pięknemi osobami, bo gdzie uroda i młodość, tam jest także i wesele. A pan hrabia lubi piękne twarzyczki!... Otóż, kochany panie Scholtz, mam do ciebie następującą prośbę. Dziś, po południu, rozeszlij swoich urzędników po wsiach okolicznych, do Trzcińca, Komorowa i dalej jeszcze, by mi koniecznie sprowadzili tu na jutro kilkadziesiąt przystojnych dziewcząt. Im więcej ich będzie, tem lepiej. Niech przyjdą czysto i świątecznie ubrane, ogrodnik dostarczy im kwiatów, drogę od bramy do pałacu, każesz pan zaścielić tem suknem czerwonem, które leży w magazynie od ostatniej bytności w Ujściu Naj. pana, nakoniec muzykę zamówisz także w mieście na jutro. Dobrzeby było gdyby dziewczęta dały się nakłonić do zrzucenia choć na kilka godzin tych obrzydliwych czepków, w których najprzystojniejsza nawet jak kwoka wygląda. Cóż o tem myślisz, kochany panie Scholtz?

Rządca, który tej całej przemowy słuchał z uśmiechem sarkastycznym, gubiącym się jednakowoż pod wąsami i wśród gęstej brody, ściągnął teraz ramiona i tak odpowiedział:

— Uczynię, co pan hrabia każe, chociaż wątpię, by nasze dziewczęta chciały odstąpić od swoich zwyczajów i czepki pozrzucać.

— Wszak im za to zapłacimy.

— Są przesądy, panie hrabio, których nawet pieniądzmi nie można usunąć.

— Jeśli tak, to niech już i w czepkach będą! — młody człowiek żywo zawołał — byle za to każda z nich była do ludzi podobną i żeby się ich jak najwięcej zebrało. Jak sądzisz, kochany panie Scholtz, na ile też dziewcząt możemy liczyć?

— Ani w przybliżeniu nawet nie mogę tego powiedzieć, gdyż, jak dotąd, podobną sprawą nigdym się jeszcze nie zajmował.

— Skoro tak, to powinien byś mi pan być wdzięczny, bo przecie jako młody wdowczyk, a przytem bezdzietny, musisz płeć nadobną wielce cenić i lubić. Cóż, zgadłem panie Scholtz?

Zapytany uśmiechnął się i głowę spuścił, lecz wprost nie odpowiedział.

— Boję się czy uda mi się tyle zebrać, ile bym pragnął, bo jutro dzień roboczy, żniwa...

— Ależ zapłacimy ile zechcą! — odparł hrabia niecierpliwie. — Przyrzeknij im pan po talarze, a gdyby się drożyły, dam po dwa, nawet po trzy!... Odkąd zostałem pełnoletnim, mój ojciec jeszcze tu nie był, więc go musimy przyjąć uroczyście, choćby to nie wiedzieć ile miało mnie kosztować. Tak, tak, panie Scholtz, starszy pan hrabia powinien z nas być kontent.

To powiedziawszy, rządcy lekko głowę skinął otulił się lepiej w szlafrok, zmrużył oczy i zaczął kołysać się ruchem wachadłowym. Scholtz wyszedł.

(Ciąg dalszy nastąpi)

DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA
WIKTORA CHERBULIEZ.
(Ciąg dalszy.)

III

W dwa tygodnie później, zobaczono w sali szpitalnej, odzianą w długą suknię z białej wełny i chowającą pod czepek piękne, ciemne warkocze, które z góry Bogu złożyła w ofierze, nowicyuszkę liczącą lat ośmnaście niespełna i noszącą imię siostry Maryi. Przyjęto ją do klasztoru dość niechętnie. Osądzono, iż wcale nie licuje z twardem i ciężkiem powołaniem, do którego rwała się gorąco: wszystko robiło ją podejrzaną; rysy twarzy delikatne, rąk białość i szczupłość arystokratyczna, jej całe wzięcie i ułożenie pełne gracyi i wytworności; lękano się żeby się nader prędko nie zniechęciła robotą ciężką i pospolitą, która miała na celu stłumić, a przynajmniej uśmierzyć ból serca zgorzkniałego i przez życie zawiedzionego. Gdyby była wniosła posag, możeby się nad tem wszystkiem tak szczegółowo nie zastanawiano; nie miała atoli posagu, więc zwracano baczną uwagę na to i na owo. A jednak, gdyby jej gorących życzeń byli słuchali, nowicyat byłby się skończył za jeden dzień, tak jej pilno było związać się na całe życie, oddać się Bogu natychmiast bez zastrzeżenia, zaprzepaścić wolność swoją przez złożenie ślubów uroczystych i wiecznych.

A jednak próba dość jej się ciężką wydawała. Szpital to miejsce surowych obowiązków i nie po to tam idą młode dziewczątka aby opływać w szczęściu i rozkoszach. Panna Maulabret żyła w swoim pensyonacie, pospołu z bogatemi dziedziczkami, które dobrze o tem pamiętały, iż je na świat wydały księżne i magrabiny i które tem się pyszniły, że im nie są obce wszelkie życia wykwinty i elegancye. Upodobała sobie była ich towarzystwo, a ich nauki nie szły na marne; nasienie padało na rolę żyzną, gotowiusieńką pod posiew. Siostra Marya miała odtąd pędzić życie z posługaczkami, które nie były wcale kwiatem społeczeństwa, a niektóre pomiędzy niemi, były nawet wielce niezgrabnemi i gburowatemi dziewkami. Albo co? może potrzeba rączek książęcych i serca roztkliwionego do opatrywania ran ropiących się, lub do prania ścierek?

W pensyonacie panna Maulabret zapomniała rychło o niższości swojego pochodzenia. Ta mała mieszczaneczka wkrótce opanowała wszystkie serca, tak matek przełożonych, jak i swoich współtowarzyszek. Była pieszczoszką całego klasztoru, wiele jej uchodziło i na wiele jej pozwalano, wiedząc z góry, iż niczego nie nadużyje. Siostra Marya była poddana regule ostrej i nieubłaganej. Kobieta straszna wzięła ją w ryzy, starała się o to gorliwie, aby ją schwycić na gorącym uczynku zaniedbania się w czemkolwiek, wystawiała na próbę jej gorliwość i posłuszeństwo wymaganiami nieustannemi, narzucała jej obowiązki nadliczbowe, znajdując, mimo wszystkiego, iż jeszcze nie dość pracuje. Rzecz wiadoma, iż w szpitalach zakonnice pilnują, kierują, rozkazują; posługaczki zaś świeckie rozkazy spełniają i mają obowiązek ran opatrywania i załatwiania wszelkiej grubej roboty. Matka Amelja postanowiła że jej siostrzenica powinna brać udział w pracy najcięższej. W dni kilka po przybyciu siostry Maryi do klasztoru, rozkazała jej wyprać bieliznę brudną, zaropioną, cuchnącą, której

zrazu nie śmiała się dotknąć Namydliła ją, do czysta wypłukała, ale przez resztę dnia była blada śmiertelnie z ckliwości i obrzydzenia.

Panna Maulabret była wrażliwą niesłychanie a żywość jej wrażeń łagodziła jedynie wrodzona dobroć. Nadzwyczaj staranna około swojej osoby, miała wstręt nieprzezwyciężony do wszystkiego, co jej zmysł estetyczny obrażało, a natomiast lubiła namiętnie piękno w naturze; zachwycały ją piękne twarze, piękne i barwne materye, w szczególności zaś, piękne i wonne kwiaty. Kwiaty upiększające więzienie siostry Maryi były to rany zajątrzone, krosty szkaradne, karbunkuły, bolączki i wrzody rozmaite, a w końcu raki straszne, potworne, które wycinano wśród zgrzytu noża chirurgicznego, języków przeraźliwych operowanej i krwi płynącej strumieniem; z tem nie mogła się dotąd oswoić, widok krwi przerażał ją, krzyki rozdzierające pacjentek przenikały ją dreszczem od stóp aż do głowy. Co ją jeszcze więcej trwożyło. to twarze kobiet i młodych dziewcząt, do których zbliżała się ze wstrętem najwyższym; ich choroby opowiadały brzydkie historye, wypadki nader podejrzane, awantury tchnące szynkownią i rynsztokiem Zwykle te kobiety i te dziewczęta hamowały się cokolwiek, częstokroć atoli ich przeszłość zdradzało słówko jedno, które im się wymknęło mimowolnie, uśmiech bezwstydny. przezwisko którem jedna drugą potraktowała, a wtedy zdawało się siostrze Maryi, iż kał, w którem one się tarzały, obryzgał i jej szatę białą. Tajemnice, które ją otaczały, sprawiały w jej duszy niepokój pomięszany z rodzajem osłupienia; radaby była zrozumieć, lękając się z drugiej strony, aby nadto wiele nie zrozumiała szła naprzód ostrożnie, bała się wolniej odetchnąć, odkrywała mimowoli iż w tym świecie podsłonecznym, dzieją się rzeczy potworne, niemożliwe, nie do wytłumaczenia Matka Amelja podejmywała się zwykle wytłumaczenia tego i owego brutalnie po swojemu Było to coś, niby straszny romans, pełen plam czarnych, od którego ją ciarki przechodziły.

Rzeczą jedyną, która jej osłabnąć nie dozwalała. dodając sił i odwagi, były brwi matki Amelji groźnie ściągnięte, jej wzrok iskrzący się, w którym gniew i pogarda zapalały pioruny pożerające. Skoro odezwała się matka Amelja do siostry Maryi, wyłapawszy ją. choćby na słabostce najlżejszej: — „Nie przynosisz mi wcale zaszczytu, a wiesz przecie, iż ja zaręczyłam i wstawiałam się za tobą“ wtedy siostra Marya byłaby w ogień skoczyła, lub poszła boso na koniec świata. Czciła, drżąc cała, tę świętą bez namaszczenia i aureoli, ale nie mniej imponującą Usposobienie despotyczne, wyobrażamy sobie z twarzą suchą i zapadniętą, tyraństwo otyłe, jest tak samo, a może jeszcze więcej niebezpieczne. Matka Amelja była stworzona do rozkazywania; miała umysł jasny, wyrażała się krótko, a dobitnie, wzrok jej przenikał najciaśniejsze zakamarki. Całą służbę szpitalną wodziła na pasku, poczytywała niemal za zbrodnię grzech najpowszedniejszy. Aby zwrócić kogokolwiek na drogę obowiązku. wystarczało jedno jej spojrzenie piorunujące, lub uśmiech pełen gorzkiego sarkazmu. Biada temu, ktoby był ściągnął na siebie jej wyrzuty; jak osa zostawiała ona żądło w ranie. Dla czegoż miała oszczędzać innych, skoro siebie wcale nieoszczędzała? Miewała gwałtowne migreny; poczytywała jednak za ubliżenie, gdyby się kiedy była na nie poskarżyła. Jej cierpienie zdradzały jedynie oczy zapadnięte i powieki czarno obwiedzione; w dniach owych jednak, rozkazy wydawała króciej i ostrzej niż zazwyczaj i nie znosiła, żeby ją zmuszano do powtórzenia rozkazu.

Siostra Marya ani się domyślała, iż pod powłoką lodowatą, despotyczną i pełną energji, ukrywała się dusza połowiczna, niespokojna, wydana na łup rożmaitych wątpliwości, trawiona tajemnie mnóstwem skrupułów. Reguły w szpitalu, wykluczały wszelką propagandę i gorliwość w nawracaniu grzeszników, matka Amelja z drżeniem stosowała się wprawdzie do przepisów, ale była wiecznie jak na mękach. Gdy jej się czasem zdarzyło otoczyć większemi wygódkami, lub poddać łakotek, jednej z chorych, która potrafiła sobie zjednać jej przychylność specyalną, okazywaniem mniej lub więcej szczerem, wielkiej skruchy i wielkiej pobożności, wyrzucała sobie tę stronniczość, jako przekroczenie reguły; jeżeli zaś widziała wychodzącą ze szpitalu heretyczkę, lub w grzechach i nieprawości zatwardziałą chrześcijankę, a jeżli nie mogła nawet spróbować, czyby się jej nie udało nawrócić, wydawało jej się to zbrodnią w obec Boga Chwiała się wiecznie, między temi dwoma obowiązkami, wręcz przeciwnemi, które nią wstrząsały na przemian, a których niezgodność doprowadzała ją niekiedy do rozpaczy. Cokolwiek zrobiła, była wiecznie na stopie wojennej z własnem sumieniem, starała się zatem przebłagać i stłumić ten głos tajemny. przez praktyki nabożne częstokroć z dziecińshwem graniczące, a szczególniej przez umartwienia serca i ciała. Te znowu umartwienia, odbijała na najbliższych, sprawiając im niemało zgryzoty. Wszyscy ją szanowali wszyscy uznawali jej zasługi niezaprzeczone, wiedziano iż dzięki jej, każda rzecz jest na swojem miejscu, i żadna sprawa nie zalega. Nikt jej jednak nie kochał i ona nawzajem nikogo nie pokochała Skazana na pielęgnowanie ciał, a w niemożności potrącenia o dusze, ten szpital, gdzie przysięgła żyć i umierać, wydał jej się olbrzymią pustynią. Poświęcała się stworzeniom li dla tego, aby się Bogu przypodobać. Ta święta nosiła pustkę w piersi, okrytej habitem.

Przyzwyczajenie jest wielką rzeczą i wielce nauczającą, częstokroć działa ono cuda. Był w szpitalu człowiek, który w rozmaitych z życiem potyczkach, stracił nos, brak zaś owego nosa i powieki z krwistą obwódką, do połowy wywrócone, nadawały jego fizioguomyi wyraz przerażający Polubiwszy dom, gdzie go bardzo długo pielęgnowano, prosił o pozostawienie go nadal w szpitalu jako pomocnika, co też osiągnął. Umiał jak nikt zamiatać, wcale pyłu nie podnosząc On to codzień zamiatał salę matki Amelji, a siostra Marya powiedziała sobie w duchu, iż do tej strasznej twarzy w życiu się nie przyzwyczai; nie mogła go spotkać, bez wzdrygnięcia i bez dreszczu śmiertelnego To też z daleka go spostrzegłszy, odwracała głowę udając iż nie uważa, z jaką ochotą ten człowiek radby jej się był czem przysłużyć. Dnia pewnego, przechodząc koło niej, zgubił czapkę z głowy. Ponieważ miał obie ręce zajęte schyliła się, aby mu ją podnieść, ale i on się schylił jednocześnie, tak, że się niemal zetknęły ich policzki. Nie wzdrygnęła się, nie zadrżała. Oddała czapkę człowiekowi bez nosa, zdobyła się nawet na coś więcej, włożyła mu ją na głowę, patrząc mu w oczy bez wzruszenia. Rekrut był na najlepszej drodze, stać się zuchem najwaleczniejszym między walecznymi.

Przyjemnie to zresztą każdemu, popisywać się ze swoimi telentami, a praktyka dowiodła iż siotra Marya, zotała przez naturę hojnie obdarzona tem wszystkiem, czego wymaga pielęgnowanie chorych. Dozorczynie w szpita-

ach. muszą ogromnie panować nad własnemi nerwami, a oszczędzać niesłychanie drażliwość nerwową u chorych, powinne również wiele rzeczy odgadywać Bywają takie pomiędzy niemi, które bądź są ograniczone, bądź z usposobienia kłótliwie i terkotliwie, zamęczają pytaniami biedaka niejednego, który znękany chorobą, już się prawie nie czuje i sił nie ma, by usta otworzyć, trzęsą nim i chwili spokoju nie zostawią: — A co ci? A na co cierpisz? Na co się skarżysz? Gdzie ci co dolega?.. Siostra Marya nie tylko mało się pytała, a wiele odczuwała i odgadywała, miała wzwyż tego niezrównaną lekkość ręki, organ słodki, nóżki szybkie i niestrudzone, które biegły prawie bez szmeru; one nie stąpały, one zdawały się ślizgać, nie było ich słychać, a mogło się zdawać, że są wszędzie o jednym czasie. Wkrótce nabyła wielkiej wprawy, w sztuce wymagającej niesłychanej delikatności w dotknięciu, w opatrywaniu rannych. Tu trzy przysłówki, mieszczą w sobie trzy nieodzowne wskazówki: lekko, szybko, czysto. Trzeba było uwierzyć, iż plaster przez nią przyłożony, goił nierównie szybciej niż inny, a płatki wykręcane jej drobnemi palczętami i używane na okłady działały iście cuda, bo nie jedna chora, nie upomniała się o swoją kolej i wolała czekać godzinami, byle dostąpić specyalnego przywileju i być przez nią opatrzoną.

Siostra Marya umiała również opatrywać i dusze, miała dar pocieszania zbolałych. Litowała się całem sercem, nad ową chorobą duszy raczej niż ciała, nad ową tęsknotą, już nie do swojego kraju, ale do swojego choćby najlichszego kącika. Francuzkie olbrzymie szpitale, są to wspaniałe pałace, dla nędzy wszelakiej. Najuboższy, najbardziej nagi nędzarz, jest tam leczony, przez najpierwsze powagi lekarskie, przez operatorów, których zaledwie najbogatsi widują u swojego łoża boleści, a otaczają go takiem staraniem i takiemi wygodami, jakich nie każdy miljoner może mieć w własnym domu. I ta jeszcze jest dogodność w szpitalach, iż wszelkie ludzkie cierpienia trzymają się tam za ręce i żyją, niby jedna wielka rodzinna: można wypytywać się nawzajem można opowiedzieć swoje dzieje jeden drugiemu. Od łóżka do łóżka, rzuci się okiem, ten bąknie o tem, tamtem o czem innem, ma się uciechę użalenia na swoją biedę i pożałowania drugiego, któremu jeszcze ona gorzej dała się we znaki. A jednak nieszczęśliwy, który opuścił swój twardy tapczan, swoją samotną izdebkę na poddaszu, aby wejść do jednego z tych wielkich gmachów, gdzie nań czeka wszelka pomoc i wszelkie starania, uczuwa z razu smutek przygnębiający i ponure zniechęcenie, zdaje mu się iż szpital to śmierci przedpokój. Żal mu owego tapczana, żal jego własnej poduszki, choćby tylko słomą wypchanej i jego sufitu tuż nad głową; zamienił to wszystko na łóżko wspólne, na poduszkę na której inne głowy tak samo spoczywały, na sufit, który właściwie do nikogo nie należy, skoro należy do wszystkich Nic nie może być przykrzejszem dla ludzkiej istoty, jak uczucie iż stała się tylko... numerem.

Siostra Marya chowała dla nowoprzybyłych, swoje starania najczulsze. Oswajała ich jak mogła, próbowała rozrywać w smutnej zadumie. Nie miała im wiele do powiedzenia na pociechę, wiedziała z własnego doświadczenia, iż czcze słowa wcale nie pocieszają, uśmiechała się tylko do nich ze smętkiem, który zdawał się przemawiać:

— Czy myślisz żem ja nie cierpiała? a przecież istnieję.

Ten kwiat przedwcześnie mrozem zwarzony, kwitł i woń rozlewał w koło, mimo tego. Biedna kobieta, której wkrótce miano raka wycinać, wynajdywała powody rozmaite, byle sprowadzić do siebie siostrę Maryę. Niczego od niej nie żądała, pragnęła tylko uczuć zbliska słodycz jej oddechu, spostrzedz wśród ust purpury końce bialutkie jej ślicznych, drobnych ząbków, które nigdy nikogo nie ugryzły. Ten uśmiech był znany i sławiony w całym szpitalu, robił on tam wrażenie zjawiska, patrzano na niego, jak na gościa ze sfer i krain nieznanych i pytano się, co się też dzieje w owych krainach?

Do przyzwyczajenia przyłączyło się wkrótce przywiązanie. Siostra Marya, w czasie nader krótkim, pokochała swój szpital namiętnie, sercem do niego przyrosła. Zapominała iż ją w nim uwięziono na odpokutowanie grzechów, których nie popełniła znalazła w tem miejscu coś, co było niemal do szczęścia podobne, nie zdradzała się z tem jednak, żeby nie rozgniewać matki Amelji. Prawda, że jej szpital był piękny i wzorowo utrzymany. Składał się z trzech budynków, murowanych przez pół z kamienia, a przez pół z cegieł, otoczonych wspaniałym ogrodem. Nadeszła wiosna, ogród zaczynał się zielenić, kiedy niekiedy słychać było świergot hałaśliwych wróbelków. Z rana, gdy słońce wpadało do sal przez wysokie okna pootwierane, siostra Marya patrzyła z zadowoleniem na wielką salę sklepioną, w której stały łóżka, po jednej i po drugiej stronie rzędami, łóżka żelazne z białemi u góry firankami. Na jednej ze ścian, na wysokim postumencie, wśród dwóch wazonków z kwitnącemi hyacentami, Matka Boska z gipsu zdawała się jej błogosławić. Była to chwila najmilsza z dnia całego. Po nocy bezsennej ogół chorych, usypiał ze znużenia, na jaką godzinkę. Lekarz ich widział do dnia i każdego zbył pięknemi słówkami; każda z chorych po tej wizycie, czuła w duszy błogą nadzieję, która kłamie tak sprytnie, iż jej się wiecznie ufa i wierzy w nią ślepo. Rekonwalescentki, siedząc na łóżkach, włosy rozczesywały i upinały, niektóre szyły, lub haftowały, inne śmiejąc się, paplały bezustannie. Sala obszerna wyglądała niemal świątecznie, a siostra Marya, za którą posługaczka niosła kociołek z zupą, szła od łóżka do łóżka, rozdzielając porcye Ktorędy przeszła w swojej białej powłoczystej szacie, rozweselały się serca, na sam widok jej lic świeżych i uśmiechu anielskiego. Uczniowie, assystenci i ochotnicy, snuli się także po sali, a jeżeli mamy wyznać całą prawdę, zajmywali się może nadto wiele siostrą Maryą. Jeden z nich ośmielił się ją zaczepić dnia pewnego temi słowami:

— Siostro, czy raczysz mi ofiarować to, co wychodzi z pod twojego czepca?

Spostrzegła, iż jeden pukiel jej pięknych włosów, wymknął się z pod białego kornetu i schowała go czemprędzej płonąc rumieńcem.

Inny znowu pozwolił sobie, ofiarować jej bukiecik z pierwszych fijołków. Przyjęła dar najchętniej i pobiegła z bukiecikiem do pewnej chorej, kwieciarki z zawodu, która na widok kwiatka, zapomniała niemal o swoich cierpieniach. Matka Amelja zgromiła ją za to surowo.

— Przyznam się matce, iż nie robiłam sobie z tego skrupułu — wyznała.

— Skrupułów! i jeszcze skrupułów! Nigdy ich dosyć mieć nie będziesz.

O wiele cięższej było jej na sercu, gdy na nią przyszła kolej czuwania w nocy. Od chwili do chwili, krzyk ostry i na pół stłumiony, lub jęk głuchy odzywający się tu i ówdzie, mięszał ją i przerażał. Łzy cisnęły się jej do óczu mimowolnie. W pewnych kątach i załomach sali tworzyły się czarne cienie, z któremi w duchu rozmawiała, ale które ją nie mniej trwogą napełniały. Z pierwszym brzaskiem dnia jednak, trwoga i smutek znikały, a niepokój miotający nią przed chwilą, zmieniał się w cichą, łagodną melancholją. Przypominała sobie nieraz, owych Trzech Królów, którzy tak ją niegdyś w pole wyprowadzili, a którym oddawna wszystko przebaczyła. Mówiła sobie: — Teraz nie uda im się ta sztuka, nie oszukają mnie, znalazłam czego szukałam, niczego żądać od nich nie potrzebuję!

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA ZIEMI MĘCZENNIKOW

POWIEŚĆ

osnuta na tle stosunków irlandzkich

przez

KAROLA DESLYS'A.

(Ciąg dalszy).

Hoche pozornie ulgi doznawał. Chciał zobaczyć się raz ostatni z przyjaciółmi, z wiernymi towarzyszami broni z Ney'em, d'Hautpocel'em, Lefebore'em, Klein'em, Grenierem Championnetem, Richepanseem... Rozmawiał z nimi przeszło godzinię, dziękując im za dowody przywiązania, usiłując się uśmiechnąć do każdego z osobna. Taki musiał wyglądać Katon z Utyki, otoczony podwładnymi. lub Sokrates wśród uczniów swoich, po wypiciu cykuty.

Wolność, postęp, świetna przyszłość Francyi, mówił im o tych wszystkich wielkościach, których nie miał tu na ziemi oglądać, ale nad któremi duch jego zdawał się unosić i w proroczem widzeniu odgadywać. Zachęcał ich do ścisłego wypełniania powinności, do prawa poszanowania, do posłuszeństwa władzom cywilnym. „Republika — zakończył — powinna mieć zawsze szpadę naszą na usługi nie powinniśmy atoli rościć sobie pretensyi, do opieki nad nią i do kierowania nawą państwa".

Długa przemowa wycieńczyła go do reszty. Usnął mdlejąc prawie z utrudzenia. Jenerałowie wysunęli się na palcach, z rozpaczą w sercu Żona na chwilę go nie opuściła, tłumiąc wysiłkiem nadludzkiem, łkania pierś rozrywające. Obudził się wkrótce, nie mogąc już tchu złapać Zaczynała się agonja. Skonał pod wieczór.

Pogrzeb był wspaniały i do głębi wzruszający. Zadecydowano, iż będzie spoczywał obok mogiły Marceau, który również kończył życie w kwiecie wieku, zostawiając po sobie wielkie imię. Zaraz nazajutrz kondukt wyruszył. Jenerałowie z całym sztabem towarzyszyli wozowi żałobnemu, przed którym niesiono sztandary krepą czarną osłonięte. Z biciem bębnów ponurem i suknem czarnem przygłuszonem, łączył się odgłos dzwonów, smętny, pogrzebowy, we wszystkich wsiach, przez które kondukt przechodził. Wieśniacy z dobrej woli, oddawali cześć i posługę ostatnią zwłokom wodza, którego miłosierdzie oszczędziło im nie jednej przykrości, nie jednego nadużycia w czasie wojny. Któryż z tegoczesnych zwycięzców, zasłużyłby umierając od zwyciężonych na podobne uznanie, na hołd podobny, oddany mu po śmierci dobrowolnie?

W Braunfels książę panujący czekał w rynku z całą rodziną, świtą i gwardyą przyboczną. Gdy przechodził koło wałów w Ehrenbreitstein. dotąd zajętych przez nieprzyjaciela, wóz żałobny powitały strzały armatnie i salwa z ręcznej broni całego garnizonu w paradzie uszykowanego. Główno dowodzący wystąpił z po za okopów, konwojując pochód żałobny, aż nad Ren.

Tym sposobem wóz żałobny postępował wśród szeregów podwójnych, złożonych z wojska francuskiego i żołnierzy austryjackich. Kondukt minął wreszcie Koblencyę, kierując się ku Petersbergowi, gdzie grób był przygotowany. Część armji z *Sambre et Meuse*, tutaj pod bronią czekała.

Po przemowach kilku jenerałów, postąpił naprzód prosty grenadjer, sprezentował broń przed trumną, a położywszy na niej wieniec z liści dębowych, rzekł głosem urywanym:

— Wodzu nasz, przyjm ten wieniec od twoich żołnierzy! — i płaczem wybuchnął. Żadne oko suchem nie zostało, a te łzy były najwymowniejszem uznaniem zasług bohatera

Noc zapadła Wszyscy się powoli rozeszli. Jeden tylko człowiek został na mogile świeżo usypanej, bolem złamany, z rękami we włosy wplecionemi. Był nim jenerał Humbert.

Jeździec, który dotąd trzymał się opodal, z siodła zeskoczył, a uwiązawszy konia do drzewa, zbliżył się, odkrył głowę i z czcią najgłębszą przykląkł na świeżym grobie.

— Ach! to ty hrabio! — Humbert zawołał

— Na pierwszej stacyi — Tankred odpowiedział — zatrzymałem się, aby pożegnać go po raz ostatni.

Uścisnęli sobie dłoń

— Do zobaczenia wkrótce nieprawdaż? — wtrącił jenerał. — Do zobaczenia w Irlandji!

— W Irlandji! . hrabia powtórzył wskakując na siodło.

Aby zaś wynagrodzić kilka godzin czasu straconego, puścił się galopem.

IV.

Na lądzie i na morzu.

City of Bristol, statek angielski, zwinny i szybki jak mewa, płynął z wszystkiemi żaglami rozpiętemi, ku brzegom Irlandji.

Statek ów wiózł na pokładzie hrabiego Gaillefontaine.

Nie bez trudu nasz znajomy, aż dotąd szczęśliwie zajechał.

Musiał zaopatrzyć się w cztery paszporty rozmaite: jeden wziął w Hessji, aby dostać się do Holandji, drugi w Rotterdam do Londynu, trzeci z Londynu do Bristolu. a czwarty nareszcie do Cork'u i Dublina.

Ostatni zdobył po nader długiaj indagacyi. Podpisując go nareszcie, Shérif dziwnie badawczo przypatrywał się Francuzowi.

— I są tacy turyści — pomyślał hrabia, którzy śmią utrzymywać, iż można z wszelką łatwością podróżować, po tej krainie mgłą wieczną przysłoniętej! A może też dostąpiłem tak wielkiego zaszczytu, iż mię raczą uważać za kogoś podejrzanego?

Nic jednak nie potwierdzało tej obawy. Hoche'a wysłannik jechał dotąd bez przeszkód. Wierny danej obietnicy, działał nadzwyczaj ostrożnie, mówiąc mało, nie nawiązując z nikiem bliższych stosunków. Ciekawym, bada-

jącym go, odpowiadał zawsze jedno i to samo: — Jestem francuskim emigrantem. Podróżuję dla rozrywki, dla nauki.

Jak nam wiadomo, fizognomja i całe hrabiego ułożenie usprawiedliwiały najzupełniej to twierdzenie.

W Londynie dopiero odstąpił cokolwiek od zachowywanej dotąd ostrożności, odwidzając pułkownika Armstrong. Czuł się obowiązanym zapowiedzieć mu, iż wyzwanie na później odkłada Honor tego po nim wymagał.

— Ktoby mi był powiedział, że ja kiedyś będę zmuszony zwlekać z pojedynkiem! — westchnął Tankred wielce tą myślą przygnębiony. — Cóż robić!... przysiągłem!. ale miejmy się na ostrożności!...

Czekał póki zmrok nie zapadnie, a zapewniwszy się iż szpada gładko i z szybkością błyskawiczną, da się z pochwy wydobyć i że pistoletom kieszonkowym, nic również nie brakuje, że są nabite kulami a cyngiel spuszcza się i podnosi jak należy, kazał się zanieść w lektyce, podług adresu danego mu przez przeciwnika.

Było to w uliczce wązkiej i ciemnej. Dom wyglądał dziwnie ponuro, w oknach były okiennice, jak gdyby nikt tam nie mieszkał

Tankred odprawił ludzi z lektyką i do bramy zastukał.

Za chwilę odchyliła bramę stara kobieta z miną Purytanki.

— Pułkownik Armstrong w domu? — spytał.

— Nie jesteś pan przypadkiem, owym Francuzem, na którego mój pan czekał nadaremnie? — bąknęła stara opryskliwie

— Pułkownik zatem odjechał?

— Zostawiając dla pana ten oto list.. proszę przeczytać.

Drugą ręką wysunęła po za bramę latarkę i kawałek pargaminu, na którym tych słów kilka nakreślono:

„Sprawa wielkiej wagi, nie pozwala mi dłużej czekać Chciej pan mieć mię za wytłumaczonego. Jeżeli hrabia Gaillefontaine myśli dłużej bawić w obrębie trzech królestw Wielkiej Brytarji odszuka z łatwością pułkownika Armstrong.“

Zaledwie Tankred dochodził do wiersza ostatniego, latarka zniknęła, brama z trzaskiem zapadła, a on został na ulicy wśród cieni nocnych

— Sługa uniżony! — wykrzyknął śmiechem wybuchając — To się nazywa przyjmować gości, czysto po angielsku! Ale tem lepiej! Zwłoka od niego przychodzi! Wszystko zatem jest w porządku, na tym naszym rozkosznym ziemskim padole, czego dowiódł tak dowcipnie Voltaire nieśmiertelny!

I o nic się więcej nie troszcząc, hrabia wrócił skąd przyszedł.

Ciemno się tymczasem zrobiło, choć oko wykol.. Część miasta pusta, oddalona.. Jak tu się orientować?

Deszczyk zaczął kropić w najlepsze. Ten jest zawsze na pogotowiu w Londynie. Nasz hrabia miał pod względem wstrętu do wilgoci, naturę kocią. W kilku minutach nastąpił przewrót zupełny w jego tak swobodnem usposobieniu. Rzeczywiście cała ta wyprawa przybierała cechę ponurą, awanturniczą, pełną dziwnej tajemniczości, jednem słowem niepokoić go zaczynała i nerwy drażniła nieprzyjemnie. Zrównawszy się z latarnią płonącą na rogu ulicy, oglądnął się w około instynktowo. O kilka kroków po za jego plecami posuwał się cicho cień jakiś, który ulotnił się natychmiast w jednej z bocznych uliczek.

— Oho! — Tankred szepnął. — Ktoś mię wyraźnie szpieguje!

Zbadał dokładnie ulicę i rogi uliczek pomniejszych. Nigdzie nikogo!.. Skoro jednak iść zaczął, słyszał po za sobą jakby lekkie stąpanie Doszedł nareszcie do jednej z ulic szerokiej, dobrze oświetlonej, pełnej życia i gwaru i wkrótce zdążył do hotelu, w którym mieszkał mrucząc pod nosem:

— Jestem ostrzeżony!. Trzeba wystrzegać się więcej niż kiedykolwiek fałszywego Herodiasa!

W kilka dni później atoli płynąc na statku, Tankred otrząsł się zupełnie z wrażeń ponurych i niemiłych. Muskał go po twarzy lekki zefirek, morze spokojne odbijało lazur nieba, a słońce w całym blasku nie szczędziło złotych i gorących jeszcze promieni.

Na pokładzie roiło się od ludzi. Jechali kupcy, wojskowi, kręcili się majtkowie i nikt nie myślał schodzić na dół do ciasnych i dusznych kajut. Tankred rozumiejący nieźle język angielski, słuch wytężył, aby coś z rozmów pochwycić. Powstanie zbrojne w Irlandji, było najczęściej tychże przedmiotem. Chwilowo było ono stłumione. W górach li niedostępnych i w głuchych borach, wałęsały się jeszcze garstki niedobitków i na tem się wszystko kończyło. Cytowano nazwiska naczelników powstania, uwięzionych lub ściganych, nie wymieniono jednak O' Comor'a, ani Fit-Geralda; były to przecież nadto znane osobistości, aby mogli o nich zapomnieć Z tego można było wywnioskować, iż dotąd ci dwaj do niczego się nie wmięszali, hasło więc przyjdzie dość wcześnie.

Pomiędzy tłumem codziennym, najpospolitszym, odznaczał się młodzieniec dwudziestoletni, postawą wyniosłą, pełną powagi i fizyonomją, o wyrazie energicznym, inteligentnym i dziwnie zadumanym. Skromność w ruchach i ubiorze zakrawała niemal na duchownego, nie licowała atoli z silną ciała budową, wzrostem olbrzymim i energją w rysach twarzy, o czem już wyżej wspomnieliśmy.

Nie rozmawiał z nikim. a gdy noc zapadła, wzrok wytężał w dal mglistą, jakby chciał dostrzedz pierwszy blaski morskiej latarni, zwiastującej brzegi Irlandyi Brwi mu się nad czołem groźnie ściągały, a oczy dziwnym ogniem płonęły Hrabia, który go w jednej z takich chwil zauważył, powiedział sobie w duchu. — „Oto człowiek!“— W dzień aby się więcej jeszcze odosobnić, siadywał w kąciku najustronniejszym, na pakach z towarami, i czytał gorliwie

Statek mocniej się zakołysał, i młodzieńcowi książka wymknęła się z ręki, tocząc się aż pod nogi hrabiego Podniósł, aby ją oddać właścicielowi.

Były to mowy sławnego Mirabeau

— Oh! pan mówisz po francusku? — zawołał hrabia odebrawszy od nieznajomego uprzejme podziękowanie.

— Wychowałem się u Jezuitów w Saint Omer — odpowiedział — i tam właśnie spędziłem część wakacji

— Wakacji?... Ależ pan nie możesz być dotąd uczniem?...

— Jestem w Dublinie adwokatem...

— Irlandczykiem, ma się rozumieć!... i założyłbym się nie wiem o co, że z rodu starożytnego i z rycerskiego gniazda?...

— Utrzymują — uśmiechnął się młodzieniec — iż pochodzimy w prostej linji, od dawnych królów Inwerary.

— Jakże to się stać mogło! — Tankred wykrzy-

knął zgorszony — że pochodząc ze szczepu królewskiego i zbudowany jak Herkules, nie szukałeś pan w wojsku karjery?...

— Jeżeliby kiedy była tego potrzeba — młodzian dumnie się wyprostował — spełnię moją powinność... Ale chciej mi pan wierzyć, nic się nie da wskrzesić, ani odbudować, siłą brutalną. Można złożyć dowody odwagi nieustraszonej, niekoniecznie zaraz za broń chwytając. Słowo żywe, może również za broń służyć, a jeżeli wytężymy wszelkie władze umysłowe w jednym kierunku, broniąc praw sprawiedliwości, z wytrwałością, której nic złamać, ani zużyć nie potrafi, to słowo może być nawet strasznem, bo nie do zwyciężenia dla naszych przeciwników.

Chociaż hrabia nie zupełnie się zgadzał z podobnem wyznaniam wiary politycznej, skłonił się grzecznie, przepraszając za pytanie niedyskretne. Ten dziwny towarzysz podróży, imponujący mu, nie tylko wzrostem olbrzymim, ale również wyższością inteligencyi, budził w nim jednak szczerą sympatję. Postanowił go wybadać, co do stosunków w Irlandyi. Zaledwie atoli usta w tym celu otworzył, zamknął mu takowe zapytany temi słowami:

— Pomówmy raczej o pańskiej ojczyźnie. Zbliżając się do mojej ziemi, której wolność i swoboda są nader ograniczone, rozsądek milczeć nakazuje.

— Do stu katów! — Tankred strzepnął palcami, dotknięty do żywego. — W tak młodym wieku jesteś pan zbyt ostrożnym!

— Pan zaś na swoje lata za mało — młodzieniec zimno zauważył.

— Co pan pod tem rozumiesz? — Tankred spytał tonem wyniosłym.

Nieznajomy zachował spokój niewzruszony. Już przed chwilą mówił coraz ciszej. Teraz szepnął na ucho hrabiemu, trącając go łokciem nieznacznie:

— Spójrz pan tylko po za siebie...

Tankred żywo się obrócił.

Jakiś człowiek, w kaftanie zielonym, leżał nieopodal, na stosie towarów, udając śpiącego. Z pod powiek spuszczonych śledził on bacznie ruch każdy rozmawiających, ucho zaś, ręką przysłonięte, w kształcie konchy, łowiło chciwie każde słowo.

Złapany na gorącym uczynku, otworzył oczy, niby ktoś ze snu nagle zbudzony, ziewnął szeroko, wyciągnął się, aż mu w stawach zatrzeszczało, a wstając leniwo, odszedł zwolna, wzrok zwróciwszy w stronę przeciwną.

Irlandczyk wstrzymał hrabiego w pierwszym zapędzie.

— Nie rusz się pan i udawaj, jakbyś się niczego nie domyślał. Jesteś ostrzeżony. Szpieg będzie o tyle mniej niebezpiecznym, o ile nie będzie się czuł odgadniętym.

— Szpieg? — Tankred powtórzył zdziwiony.

— Kogoż właściwie szpieguje, mnie, czy pana?

— Może nas obydwóch — odparł od niechcenia potomek królów Inwerary.

Hrabia postanowił usłuchać mądrej rady, udając zatem najzupełniejszą obojętność i niewiadomość, nie spuszczał z oka człowieka w zielonym kaftanie.

Ruchy przesadnie ociężałe, facjata obrzękła, z wyrazem podłym łotra, od szubienicy oderwanego, wzrok chytry i ponury, jak u drapieżnika, wszystko zdradzało ajenta policyjnego, szpicla, którego rekrutuje się pomiędzy wypuszczonymi galernikami. Zrazu trzymał się na uboczu, lękając się widocznie zaczepki. Wprędce jednak odzyskał równowagę. Nad wieczorem, Tankredowi zaczął znowu na pięty, jak to mówią, następywać i ciągle kręcił się koło niego.

Noc była tak ciepła, iż wielu z podróżujących zostało na pomoście. Tankred, w płaszcz się zawinąwszy, usnął pomiędzy zwojami z lin okrętowych. Skoro oczy otworzył, spostrzegł naprzeciw siebie szpiega, który zdawał się głęboko uspionym.

— W rzeczy samej! — hrabia pomyślał. — Mnie mu śledzić kazano... nie spuszczę i ja z oka tego Argusa!

Statek wpłynął do pysznej zatoki, nazwanej przez Tomasza Moore: *„Morzem Cork'u“*... Wyobraźmy sobie jezioro wspaniałe, otoczone jak wieńcem, wzgórzami zielonemi. Na ich wierzchołkach rozsiane lasy i łąki, u stoku czarowne ogrody, prześliczne wille, niby w źwierciedle, w falach zatoki się przezierają. W tej chwili szczególniej, w świetle różowem pierwszych słońca promieni, był to widok niezrównany, usprawiedliwiał zupełnie zachwyt *Bardów* irlandzkich, którzy ową zatokę, kładą na równi z Bosforem.

Czółna mające zabierać podróżnych, licznie nadpływały.

Tankred zbliżył się do młodego adwokata, który owinąwszy się *plaidem* na sposób szkocki, podnosił właśnie niewielki kuferek, ze skóry z włosem płowym, na której były przybite litery z białego metalu.

— Może jego nazwisko? — pomyślał hrabia zaciekawiony.

Zobaczył tylko litery początkowe z przecinkiem u góry. D. O'l

— Panie — spytał Tankred, podając mu dłoń na pożegnanie — myślę dłużej zabawić w Irlandyi. Gdyby przypadkiem spotkała mnie jaka awantura, proces, dajmy na to do kogo mógłbym się zgłosić w Dublinie?

— Nazywam się Daniel O'lonell — odpowiedział.

I razem wsiedli do jednego z czółen.

Szpiega w niem nie było. Zastali go już, skoro wysiedli, na tamie kamiennej, nad brzegiem. Wylądował i czekał.

Cork, miasto drugorzędne w Irlandyi, nie odznaczało się wówczas bynajmniej paradnemi hotelami. Polecono hrabiemu, jako ze złych najlepszy, *Hotel „Pod wielkim królem O' Donoghue,“* który stał o kilka kroków od brzegu.

Gaillefontaine skierował się ku bramie hotelowej a i człowiek w zielonym kaftanie miał widocznie interes w tej samej stronie, bo szedł o kilka kroków za nim.

Gdy szpieg przekonał się na pewno, że w tym hotelu hrabia rozłożył się taborem, zniknął natychmiast z horyzontu, pośpieszywszy widocznie w ślad za Danielem O'lonnell.

— Nie omylił się! — mruknął Tankred — schowany za firankę, skąd śledził nawzajem krok każdy ajenta.— Szpieguje nas obydwóch! Wróci się do mnie, prawdopodobnie, skoro zda raport dokładny.. Trzeba mu szyki popsuć!.. Postarajmy się, żeby mnie już w hotelu nie zastał!

W skutek czego, krzyknął na oberżystę, którego imię i nazwisko świeciło nad bramą wielkiemi białemi literami, na czarnej tablicy wypisane:

— Słuchaj no! panie Filip!... śniadanie natychmiast!... i w dodatku wszelkie potrzebne mi objaśnienia!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DWIE MOGIŁY.

(Dokończenie.)

II.

Rok temu, p. Włodzimierz Spasowicz, siostra jego, pani Alicja Hasfort i ja przyjechaliśmy do Carogrodu i stanęli na Pera, w hotelu Angielskim. Drugiego czy też trzeciego dnia po naszym przyjeździe, właśnie gdyśmy w sali jadalnej przy śniadaniu siedzieli, wpadł jak bomba mężczyzna niewielki, już siwy, na twarzy czerstwy, rumiany, z brzuszkiem jak na jego wzrost wcale okrągłym i zbliżywszy się do p. Spasowicza, po kilku słowach rzucił mu się odrazu na szyję.

Był to ś. p. Henryk Groppler.

Któż z polaków bądź stale, bądź tylko chwilowo bawiących nad Bosforem, nie znał tego człowieka i nie był w jego domu w Bebeku?

Lat temu trzydzieści sześć, przyjechał on do Turcji i od tego czasu, z małemi przerwami, stale w niej przebywał. Rzuciwszy się na pole przemysłowe, miał na niem nadzwyczajne powodzenie, w ciągu lat niewielu dorobił się wielkiej fortuny. Stracił ją jednak doszczętnie. Nie zraził się tem niepowodzeniem i zaczął rzecz *ab ovo*. Dzięki niezmiernej swojej ruchliwości i rzadkiej u polaków wytrwałości, zrobił drugi raz majątek, a gdym go widział, wyglądał mi już na pana jeśli nie miljonowego, to przynajmniej kroclowego. Sam mi mówił, że ze znacznym udziałem należy do konsorcyum, utrzymującego na Bosforze 9 statków parowych, które na brzegu azyatyckim eksploatuje kopalnie marmuru i boraksu.

— Idzie nam nieźle — dalej opowiadał — i szłoby jeszcze lepiej, gdyby nie ta niepojęta turecka ociężałość. Już dwa lata kołaczemy do rządu, żeby nam pozwolił oczyścić i pogłębić rzękę, wpadającą pod Skutari do morza, bo wtedy statki nasze mogłyby się dostawać wgłąb lądu i transport naszych artykułów mniejby nas kosztował, a mimo prośb, perswazyj i zobowiązań, że pogłębienia własnym kosztem dokonamy, nie możemy na to firmanu uzyskać. Takie złe czasy tu nastały, że nawet „bakszysz“ nie pomaga.

A mimo że narzekał na złe czasy, bo któryż wielki przemysłowiec na nie się nie uskarża, pokilkakroć zwracał się do mnie i mówił:

— Zostań pan tu, sprowadź swoją rodzinę i zamieszkaj z nami. Nie jesteś jeszcze stary, możesz więc łatwo majątku tu się dorobić, bo Wschód to kopalnia złota dla przedsiębiorczego europejczyka.

Gdym mu na to odpowiedział, że to niemożliwe, śmiejąc się dodał:

— Napij się pan tylko wody ze studni w Tophane, a ręczę, że zostaniesz. Niedarmo mówią turcy, że kto tej wody zakosztuje, ten już z Carogrodu nie wyjedzie.

To, co Groppler do mnie mówił, nie było czczym frazesem, zdawkową monetą codziennej grzeczności, którą mamy dla nowych znajomych. Był to człowiek tak zacny, tak gościnny, że każdego polaka pragnął mieć obok siebie, by się nim opiekować. To też w jego domu widywano niegdyś Adama Mickiewicza, jenerała Zamojskiego i Sadyka-baszę; później byli w nim gośćmi codziennymi: Tadeusz Orzechowski, Karol Brzozowski, Jeż, Karol Pieńkowski, Włodzimierz Milowicz i wielu innych, w latach zaś ostatnich mieszkał tam jego sławny kuzyn, Jan Matejko, a niedługo po panu Spasowiczu przybył także do Bebeku ze swymi przyjaciołmi Henryk Sienkiewicz. A ilu biedakom z kraju wyrzuconym i z głodu umierającym Groppler rękę pomocną podawał! Obok tego interesował się wszystkiem co się działo nad Wisłą i Wartą, celniejsze utwory polskich pisarzy miał i czytał, nawet wybitniejsze dzieła sztuki polskiej nie były mu obce. A jak kochał swoją mowę ojczystą! Gdyśmy na statku do Bebeku przybyli, oczekiwał nas na brzegu w fezie tureckim jakiś jegomość o fizjonomji orjentalnej, który jednak przemówił do nas po polsku i przez całą drogę, do państwa Gropplerów nas prowadząc, tym językiem z nami rozmawiał. Zdziwienie nasze było wielkie, bośmy się nie mogli domyśleć, ktoby to był za jeden, a spotęgowało się ono jeszcze bardziej przy śniadaniu, gdy tym, który przy stole usługiwał, był ten sam jegomość. I okazało się, że był to lokaj gospodarstwa, grek z pochodzenia, który, służąc u państwa Gropplerów od pięciu lat, musiał się po polsku nauczyć, gdyż oni ani między sobą, ani z nim nigdy inaczej nie mówili.

Groppler miał rozliczne znajomości. Począwszy od w. wezyra, a skończywszy na urzędnikach celnych, znał wszystkich w Konstantynopolu; w zagranicznych ambasadach znano go także i ceniono, szczególną zaś przyjaźnią zaszczycał go był gubernator Brussy, a następnie w. wezyr, Achmet Vefik pasza, znany na Wschodzie jako wielki miłośnik literatury tak ojczystej, jak obcej. Byliśmy z Gropplerem w jego mieszkaniu w Rumeli-Hissar i mieliśmy sposobność widzieć, z jaką życzliwością wysoki dostojnik turecki przyjmował naszego ziomka. Kto wśród obcych zaskarbił sobie miłość i powszechny szacunek, ten chyba musi być sam człowiekiem charakteru i serca.

Nad wszelki wyraz był oryginalny i ciekawy jego dom w Bebeku. Miejscowość ta leży o kilka kilometrów od Carogrodu, na prawym brzegu Bosforu, a jak dla nas tylko dlatego była ciekawą i godną zwiedzenia, że w niej państwo Gropplerowie mieszkali. Ich dom stał na górze, przy uliczce wązkiej, spadzistej, był dwupiętrowy, a choć malutki, pełen wewnątrz przedziwnych osobliwości. Trzebaby w nim być koniecznie, żeby powziąć o nim dokładne wyobrażenie. Wschodnie dywany i atłasy zachodnie, wazy etruskie i marmury greckie, kosztowne opony i przedziwne boazerye perskie, ściany i sufity wykładane drzewem koloru perłowego, wygodne otomany tureckie i kanapy perskie — wszystko tam było pomieszczone i tworzyło chaos prawdziwy, lecz nie ów, który nas ogłusza, ale ten, w którym jest o tyle harmonji, że oko się nie gubi, myśl się nie rozstrzela i widz może z przyjemnością przypatrzeć się każdemu przedmiotowi z osobna.

W tym uroczym zakątku mieszkali państwo Gropplerowie sami, dzieci nie mieli, a kiedyśmy ich przyszli odwidzieć, ze łzami w oczach prosili, byśmy się do nich sprowadzili choć na dwa tygodnie i z Bebeku robili dalsze wycieczki Godzin kilka spędziliśmy w atmosferze prawdziwie przyjacielskiej, podejmowani z gościnnością staropolską, a na odchodnem musieliśmy jeszcze przyjąć upominki.

Dziś ten, który był duszą tego domu, nie żyje — mieszkanie jego opustoszało; polacy, przybywający do Carogrodu, nie mają tam nikogo — Bebek przestał mieć dla nich wartość jakąkolwiek.

Wraz z Henrykiem Gropplerem umarła polska gościnność nad Bosforem.

Niech to ptactwo wędrowne, które właśnie nad moją głową przelatuje, zanuci nad jego grobem, w imieniu nas wszystkich, ostatnią pieśń pożegnania!

Józef Rogosz.

Nowe Sioło pod Stryjem, październik 1887 r.

Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

Pogadanka.

Lwów d. 18. Stycznia 1888 r.

— Gdzie mieszka teraz dozorca domu? — zapytałem przechodzącego przez podwórze człowieka. — Szukałem go w dawnej izdebce pod wschodami, lecz tam zamknięto. „Ej! proszę pana stróż teraz nigdzie nie mieszka, jeno się tłucze po całej kamienicy jak marek po piekle, bo mu jeszcze gospodarz nowej izby nie wyszukał.“ — A czemu w dawniejszej nie mieszka? — „Bo z magistratu przyszli i powiedzieli, że stróże nie mogą już w takich stancjach mieszkać, w których nie ma światła.“

Bodaj ci Bóg dał za to sto lat zdrowia czerstwego, prześwietny lwowski Magistracie! Przecie raz ulitowałeś się nad tymi wydziedziczonymi, z którymi nie jeden pan kamieniczny obchodził się u nas gorzej niż z bydlęciem. W zakątkach najniezdrowszych, gdzie nie ma ani światła, ani powietrza, najczęściej obok ścieków i wychodków znajdowały się dotąd mieszkania stróżów lwowskich. A ludzie ci muszą przecie wciąż być na nogach, w dzień zamiatają kamienicę, froterują pokoje gospodarzowi, załatwiają mu w mieście sprawunki, rębią drzewo, noszą wodę, słowem robią wszystko, w nocy zaś co chwila budzą ich lokatorowie, czasem ten i ów co w rękę za to wsunie, lecz częściej stróż usłyszy:

— Jutro wam dam, Janie, bo dziś nie mam drobnych!— Jan mruczy, niekiedy nawet zaklnie pod nosem, bo mieszkając w izbie wilgotnej, przesiąkniętej powietrzem zgniłem, zmuszony wciąż patrzeć na chorobę to żony, to dzieci, które tak samo, jak każda roślina, bez światła żyć nie mogą, wysilony pracą i źle odżywiony, zrobił się złym, nawet brutalnym. Niegrzeczność stróżów lwowskich znaną jest na świecie, lecz za to, że są takimi, czy tylko oni odpowiadają? Do jakiego stopnia lekceważono życie tych ludzi, okazuje się najlepiej z tego, że gdy Bank hipoteczny, kosztem dwustu tysięcy guldenów, stawiał dla swoich biur kamienicę przy placu Maryackim, dla dozorcy przeznaczył zakątek pod wschodami, bez światła i powietrza. Łatwo sobie wyobrazić, co się działo w biedniejszych kamienicach. Rozporządzenia Magistratu nie możemy więc dość pochwalić, a że ład po domach należy do rzeczy, bez których cywilizacja nie umie się obejść, prosimy go zatem, by jak najprędzej kazał także we wszystkich kamienicach wywiesić tuż przy bramie w sieni nazwiska lokatorów. Wtedy nie trzeba będzie tłuc się po piętrach i pytać o osoby, których szukamy, gdyż każdy, do sieni wszedłszy, zobaczy gdzie mieszka ten, którego widzieć potrzebuje. Skoro w wielu stolicach to uczyniono, czemu więc tylko jeden Lwów ma pod tym względem stanowić wyjątek!

Gdy przed dziesięciu dniami pisałem na tem miejscu o *Świecie* p. Sarneckiego, mówiłem wtedy tylko o jego stronie literackiej, jak się takowa zapowiadała z programu. O części artystycznej nie mogłem jeszcze wspominać, gdyż nie widziałem 1-go numeru. Dziś mam go już w ręku i — szczerze to wyznaję — pod względem artystycznym przeszedł on moje oczekiwania. Jest to publikacja na wzór francuskiej *L'Art*, pełna doskonałych rycin, wykonanych w wielkim smakiem i stojąca pod względem artystycznym daleko wyżej niż *Kłosy* lub *Tygodnik Illustrowany*. Co do treści, ta jest informacyjna, prawie kronikarska, i o ile z pierwszego numeru można wnioskować, taką zawsze zostanie. Całość też robi wrażenie nie pisma literackiego, lecz pięknego albumu, które ma zdobić stoły w salonach. *Świat* jest za drogi by go szersza publiczność mogła abonować, ale za to jest on tak piękny, że go powinne mieć wszystkie nasze salony. Ponieważ Kraków został nie tylko polskim Rzymem, lecz także polskiemi Atenami, więc słuszną jest rzeczą, by tego rodzaju pismo, mające być niejako pośrednikiem między polską sztuką a polską publicznością, wychodziło właśnie w tem mieście, ludzie zaś zamożni całej Polski powinni je wspierać i trzymać, gdyż publikacja tak kosztowna dopiero wtedy byt swój utrwali, gdy się oprze na szerokich podstawach.

Nie jeden musiał się zdziwić, czytając w poprzedzającym numerze, szczegóły testamentu zmarłej niedawno właścicielki handlu paryzkiego *Au bon marché*. Żeby właściciel jednego sklepu mógł zrobić fortunę tak wielką, to rzecz prawie nie do uwierzenia. A jednak w szczegółach podanych nie ma najmniejszej przesady, i nie sam tylko magazyn *Au bon marché* obraca miljonami. Mam przed sobą sprawozdanie p. Jaluzot, kierownika magazynów *Du Printemps*, z czynności dokonanych w roku ubiegłym, i z niego dowiaduję się, że majątek tych zakładów wynosi obecnie 50,196,105 franków a czysty zysk w roku ubiegłym osiągnął cyfrę 2,456,771 franków. Słyszycie, magazyny *Printemps* miały w roku ubiegłym, prawie półtora miljona guldenów zysku czystego! Zdaje mi się, że wszystkie banki galicyjskie razem wzięte takiej nadwyżki nie wykażą. A jakiemi miljonami obracają sławne Magazyny *du Louvre*, *Au bon diable* i inne? Te cyfry wskazują lepiej niż co innego, że Francja mimo pogromu i utraty pięciu miljardów, które jej Niemcy zabrali, jest dotąd pracowitą i bogatą, a gdybyśmy dobrą statystykę majątku miasta Paryża ułożyli, kto wie czyby się nie okazało, że on jeden ma więcej bogactw, niż wszystkie stolice Germanji razem wzięte. Bądźmy więc spokojni o Francję, bo ją można było pokonać, lecz nie zniszczyć.

Nemo propheta in patria sua — mówi stare przysłowie, ja zaś dodam, że nikt nie będzie prawdziwie znakomitym, kogo zbyt porywczo za takiego ogłoszą. Talent musi się wybijać z wielką mozołą, a zasługa długo czeka na uznanie. Reklamą można wiele zrobić, lecz tylko dziś — jutro zostanie z niej czczy dym. Siemiradzkiego prędko ogłosili genjuszem a dziś nikt o nim nie mówi — o *Panu Tadeuszu* przeciwnie sam Krasiński wyrażał się z lekceważeniem, a mimo to utwor ten został najznakomitszem dziełem polskiem. Genjalny autor „Fausta,“ tej opery prawdziwie pięknej i podniosłej, której dość się nasłuchać nie można, na pierwszem jej przedstawieniu przed laty 30-tu był prawie wygwizdany. Publiczność przyjęła ją obojętnie, zimno, nawet nieżyczliwie, i Gounod wracał z przedstawienia do domu jak z własnego pogrzebu. Przyjaciele, którzy go wtedy odprowadzali, mieli łzy w oczach. Wielkie dzieło sztuki nie zostało jednak pogrzebane. Powoli słuchacze zrozumieli, jakie perły w niem się mieściły, a potem zapał wszystkich ogarnął. I przyszło do tego, że w ciągu 30-tu lat wielka Opera paryzka dała „Fausta“ 500 razy! Na pięćsetnym jubileuszu sam maestro kierował orkiestrą, a po przedstawieniu z dumą mógł powiedzieć, że stworzył dzieło nieśmiertelne!... Niech się więc nikt nie cieszy, kto łatwe zbiera tryumfy, gdyż po nich następują zwykle rozczarowanie i żal...

p.

PORADNIK DOMOWY.

Woda chlorkowa przeciw odziębieniu rąk i nóg.

Kupić w aptece 32 gramy chlorku wapna suchego i świeżo spreparowanego, wsypać go do porcelanowego lub szklannego moździerza i zwilżyć cokolwiek zwyczajną zimną wodą. Proszek ten należy rozetrzeć czystym tłuczkiem z tegoż materjału i do otrzymanej w ten sposób białawej maści dolać pół kwarty wody, przemięszać wszystko jeszcze raz, przecierając tłuczkiem i przecedzić przez grubą białą bibułę wyścielającą wnętrze lejka. Po spłynięciu płynu, na pozostałe na bibule, w lejku nierozpuszczone części chlorku zlać znowu potrochu pół kwarty wody. Po tem przemyciu połączyć razem przecedzone płyny i szczelnie zakorkować. Użytek zasadza się na codziennem obmywaniu zagrożonych części ciała w tym płynie. Rano i wieczorem nalewa się go cokolwiek na miednicę i obciera zmaczane nim członki dopiero po obeschnięciu płynu. Jest to jeden ze skuteczniejszych środków, jednocześnie leczących i zapobiegających odmrożeniu. Należy go używać w początkach odziębienia, zaraz przy pierwszem swędzeniu, nie czekając aż się okażą rany.

Wywabianie plam tłustych z tkanin wełnianych.

Na codziennych naszych ubraniach, wskutek nieostrożności niejednokrotnie znajdujemy t. zw. plamy tłuste; świecą się one wcale niepięknie i nawet nowej sukni nadają pozór starości. Ludzie z poplamionem odzieniem czynią na nas zawsze ujemne wrażenie niedbalstwa i nieochędóstwa. Sposób usuwania tych plam, na prośbę jednej z łaskawych czytelniczek poniżej podajemy. Postępowanie przy wywabianiu zależnem jest od tego, jak dawno powstała plama; jeżeli jest świeża, w takim razie najlepiej zacząć od zmycia jej ciepłym roztworem mydła i starannego wypłukania w wodzie. Gdyby ten sposób okazał się niedostatecznym, radzimy następujący nieomylny środek. Zwyczajną wódkę mięszamy z równemi objętościami eteru siarczanego i benzyny; mieszaniną tą napajamy miejsce splamione i po kilku sekundach watą opatrunkową, lub jakąkolwiek czystą tkaniną wełnianą nacieramy silnie to miejsce; po dwukrotnem powtórzeniu tej manipulacji plama znika zupełnie, zmywamy ją jeszcze dla pewności dwuprocentowym rozczynem amoniaku z wodą. Inna jest manipulacya przy oczyszczaniu plam zastarzałych, należy bowiem poprzednio tłuszcz roztopić, osiągamy to przez przyprasowanie splamionego miejsca niezbyt gorącem żelazkiem przez potrójnie złożoną bibułę. Dalsze postępowanie jest takie same, jak przy świeżych plamach. Przy wywabianiu plam tłustych z tkanin o kolorach bardzo nikłych należy zaniechać zmywania mydłem i amoniakiem, oraz dodania do podanej wyżej mieszaniny eteru.

Barwienie tkanin lnianych i bawełnianych.

Barwienie tkanin składa się z trzech głównych momentów: 1) odbarwianie tkaniny, 2) przygotowanie jej do barwienia przez nasycenie roztworami soli (gruntowanie) — i 3) barwienie. Płótno lub perkal, używane do barwienia, powinny być bardzo białe i pogrążone w słaby odwar marzanny farbiarskiej, powinny zabarwić się bardzo słabo. Po próbie powyższej możemy przystąpić do gruntowania i barwienia. Dla zabarwienia tkaniny na niebiesko używamy octanu żelaza (*ferrum aceticum*) i żółtego żelazocyanku potasu (*ferro kali cyanatum flavum*). Tkaninę pogrążamy w silny roztwór pierwszej substancyi i na parę godzin wystawiamy ją na działanie powietrza, następnie pogrążamy ją w roztwór drugiej substancyi i znowu wystawiamy na działanie powietrza. Po wyschnięciu przepłukujemy w zimnej wodzie. Na kolor czerwony barwimy tkaniny za pomocą czerwonej farby anilinowej, wygotowawszy wpierw tkaninę w stężonym roztworze siarczanu magnezu i ałunie. Żółtą barwę otrzymujemy na tkaninach w sposób następujący: napawamy je gęstym roztworem octanu ołowiu i następnie wygotowujemy w roztworze dwuchromianu potasu (*kali bichronicum*). Pomarańczową barwę otrzymujemy, gotując w wodzie mydlanej, zabarwionej w powyższy sposób na żółto. Czarną barwę otrzymamy, jeżeli tkaninę napoimy roztworem octanu żelaza, wygotujemy ją w odwarze drzewa błękitnego (*lignum campechianum*) i następnie przez kilka minut potrzymamy je w słabym roztworze dwuchromianu potasu, ogrzanym do 50° R. Łącząc wreszcie farbę niebieską z żółtą, otrzymamy barwę zieloną, niebieską z czerwoną — fioletową. Łącząc zaś niebieską, czerwoną i żółtą, otrzymamy barwę brunatną.

Łamigłówka.

(Pana Z. Morawskiego z Tarnowa.)

a — a — e — e — o — o — u — al — am — bo — ca — ce
ce — do — do — dy — go — je — je — ka — ki — ko — la
li — ma — ma — ma — me — mi — mi — ni — ni — no — ny — mo
o — pa — ra — ra — ra — ri — ro — ro — ry — sa — sa — se
si — ta — wa — wa — wa — wa — we — wi — wi — wo — wy — za
ze — zi — bar — bra — bur — bry — chy — cni — cim — cha
czy — cler — czor — czer — dża — kra — kto — lan — łek
liń — tków — mont — nia — nie — ni — usz — war — zan
myśl — ham — raw — rop — rów — sie — ski — ski — hir
sta — sza — święg — stro — sztyn — targ — włowsk — la — cki.

W każde pole szachownicy o 16 × 16 polach, (pól 16 ma być w kwadrat) wpisać po jednej literze, co uczyni w każdym szeregu poziomym po dwa słowa 8-głoskowe: 1a. Imię kobiety, b. Imię męskie. 2a. Szewc, b. Miasto albo rzeka w Rosyi. 3a. Gniazdo rodziny Sieniawskich, b. Miasto na pograniczu Królestwa. 4a. Stacya koleji Karola Ludwika, b. Stacya koleji czerniowieckiej. 5a. Stolica Polski, b. Drobny motyl szkodliwy. 6a. Miasto francuskie, b. Państwo angielskie. 7a. Miasto nad górnym Dunajcem, b. Góra w Himalajach. 8a. Główne miasto Bośnii, b. Rezydencya ostatnich królów maurytańskich. 9a. Poeta Polski, b. Minister słynny. 10a Miasto nad Skawą, b Miasto nad Seretem. 11a. Arcybiskup obrz. łac. b. Prorok. 12a. Miasto na pograniczu szląskiem, b. Miasteczko w dorzeczu dolnego Sanu. 13a. Sułtaństwo w Afryce, b Gł. miasto Lombardyi. 14a. Imię chłopaka, b. Miejscowość z pałacem carskim. 15a. Fabryka papieru, b. Imię tegoczesnej królowej 16a Gł. miasto Aragonii, b. Następca Salomona.

Po należytem wpisaniu liter dadzą obie przekątnie tego kwadratu życzenie przyjazne.

Łamigłówka z liter.

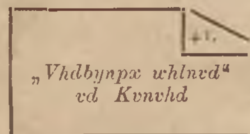
(Ułożyła pani Bożemska ze Stanisławowa)

a, ą, ą, c, c, d, d, d, d, e, e, e, e, h, i, j, j, k, k, k, l, l, l, l, l, n, ń, o, o, o, p, p, s, s, s, t, t, u, u, y, z, z.

Z powyższych liter ułożyć dwuwiersz wielkiego poety.

Tajemnicza karta wizytowa i Repertoar teatralny.

(Ułożył p. Al. Godel ze Lwowa.)



Repertoar teatralny.

Poniedziałek	Zbójcy
Wtorek	Mascota
Środa	Marta
Czwartek	Norma
Piątek	Gasparone
Sobota	Fatinica
Niedziela	? ?

Kto powyższe łamigłówki pierwszy rozwiąże, otrzyma jako premjum sławny romans **Al. Dumasa „Trzech Muszkieterów"** w 6-ciu tomach.

Rozwiązanie logogryfu, umieszczonego w Nr. 2.

1) **S**yrakuz**y** — 2) **T**eodo**r** — 3) **E**ch**o** — 4) **F**luory**t** — 5) **A**stury**a** — 6) **N**abo**b**. Stefan Batory.

Pierwsze dobre rozwiązanie przysłał p. Fr. Tyrcha i ten premjum otrzymał.

Następnie trafne rozwiązania nadesłali: M. Zabłocki, Aleksander Godel, Hoffman Jan, Marcin Rembacz, Władysław Zadurowicz, M. Landesberg Gałuszka, Kazimira Brzuszkiewicz, Pojata z nad Czeremoszu, Edmund Kienzler, Marja Bernacka, Emilja Wospiel, St. Faliszewski, S. Bielecki.

Księgarnia Polska poleca następujące nowości.

LIMANOWSKI. Historja ruchu społecznego w drugiej połowie XVIII stulecia	3 zł. 60 c.
HAJOTA. Błędne koło	2 „ 40 „
GAWALEWICZ, Sylwetki i szkice literackie	2 „ — „
ZAPOLSKA. Kaśka — Karjatyda	2 „ 70 „
OUIDA. Rusałka — Freski	1 „ 60 „
MARLITT G. Dama z rubinami	2 „ 40 „

Z drukarni nar. W Manieckiego: Zarządca: Walenty Hodak. Wydawca: Józef Rogosz Odpowiedzialny redaktor Teofil Szumski.